

SZKOLENIE I WYPRAWA NA MONT BLANC

CZERWIEC 2016

„Kurs to nie kółko wzajemnej adoracji ani wakacje w Egipcie. Czekają Was wytężona praca od rana do wieczora”, czytamy na stronie **Polskiego Klubu Alpejskiego**, zastanawiając się nad wyborem szkolenia alpinistycznego z opcją wejścia na Mont Blanc. Musi być to coś dla mnie, lubię mieć napięty grafik zajęć i wykorzystany maksymalnie czas. Już pierwszy dzień szkolenia w Chamonix udowadnia, że faktycznie tak jest. Zbieram burę od rodziny, że do nich nie dzwonię, tłumacząc się, że tak naprawdę nie mam kiedy. Bez przerwy jesteśmy na zajęciach, a wolny czas służy tylko do zaspokojenia głodu, czyli upichcenia czegoś na szybko. Za oknem strugi deszczu, pierwszy dzień w Les Houches nie przywitał nas serdecznie. Przed nami cały stół zastawiony żelastwem, tzn. sprzętem asekuracyjnym: ekspresami, frendami, heksami, dalej wiszą różne liny. Czekają nas cały dzień wykładów, a następnie ćwiczeń praktycznych wiązania węzłów pod okiem prezesa klubu Bogusława Magrela. Kursanci pilnie słuchają i notują. Skupiona uwaga co jakiś czas jest rozluźniona zabawnymi komentarzami prowadzącego. Ku uciesze innych często jestem główną ofiarą tych dowcipów, ale mi to nie przeszkadza, wręcz przeciwnie, lubię się pośmiać z samej siebie. Czasem ktoś z nas łąduje na podłodze, wykonując karne pompki na tzw. obudzenie za to, że np. nie potrafił wykonać węzła skrajnego tatrzańskiego. W końcu przerwa na posiłek, godzina, czas start... i wszyscy niczym uczestnicy programu Masterchef biegną do kuchni, aby dobrać się do lodówki lub zająć choć jeden garnek. Szybko tworzą się kółka wzajemnego wsparcia przy kuchence.

- Ania, ty przypilnuj na gazie zupełną, a ja w tym czasie przygotuję surówkę z marchwi i podgrzeję karkówkę pieczoną przedwczoraj w domu - proszę koleżankę.

- To ja pozmywam później naczynia - dołącza do naszego kółka wspólnego garnuszka Krystian.

- Jak macie w nadmiarze, to ja też z chęcią się do Was przyłączę - odzywa się Bogusław.

Dawid i Arek to kolejna wspólnota żywieniowa, chłopaki serwują jajecznicę na boczku. Albin i Michał mają własne indywidualne menu. Gola i Anil właściwie żywią się powietrzem i miłością. Wczesnym rankiem, kiedy inni jeszcze chrapiają, wychodzimy z Krystianem i Dawidem odbyć trening biegowy po okolicy. W końcu po całej dobie deszczu chmury ustępują i wyłania się niesamowity widok szczytów górskich nad miasteczkiem. Pierwszy raz w życiu widzę lodowiec, na razie od dołu, ale już za kilka dni stanę na nim, co napawa mnie euforią. 5 km zrobione, płuca dotlenione, wracamy na śniadanie. Następnego ranka z Anilem i Krystianem podbiegamy pod język lodowca Bossons, łącznie 10 km o dość stromym nachyleniu. Jestem zasapana, ale zachwycona jego widokiem z bliska. Dodatkowo na finiszu naszego treningu czeka nas niespodzianka. Pod hotelem wita nas **Denis Urubko**, właśnie przed chwilą przyjechał odwiedzić Bogusława i nas wszystkich na kursie. Bardzo się cieszę się, że mogę poznać jednego z najwybitniejszych himalaistów, bohatera licznych książek, które wcześniej czytałam i nawet mi na myśl nie przyszło, że poznam go osobiście. Na dzisiejszych zajęciach wspinania w skałach Denis wspiera Bogusława i Krystiana, udzielając nam cennych wskazówek.



Uczymy się zjazdów na linie, asekuracji partnera, autoasekuracji, podchodzenia na jumarze. Później wspinamy się w zespołach. Każdy zespół robi inną drogę. W połowie skały słyszę, jak Ania zaczyna przeklinać po niemiecku. Kilka punktów asekuracyjnych wyżej klnie już po polsku. To oznacza większe trudności w skale. Zaczyna padać deszcz, niestety, musimy zjeżdżać w dół. Zjechałam pierwsza, rozglądam się za swoją kurtką i plecakiem. Denis pokazuje na duży kamień. Schował nam nasze rzeczy, żeby nie zmokły.



Kolejne dni szkolenia spędzamy pod znakiem budowy stanowisk, punktów asekuracyjnych, wykładów na temat bezpieczeństwa w górach oraz mojej zmyry - budowy flaszczuga. Zastanawiam się, czy mi brakuje jakiegoś zwoju w mózgu, że nie mogę tego ogarnąć, kiedy po kolejnej nieudanej próbie zbudowania tego ustrojstwa Bogusław proponuje mi wieczorne korepetycje, a wszyscy mają ubaw. Dobry humor to podstawa. Siedzimy pod wieczór w kuchni, zajadając fistaszki zakupione przez Krystiana na szkoleniu we Włoszech, kiedy pada decyzja:

- Szykujcie się, jutro w południe ruszamy na górę - oznajmia kierownik szkolenia Bogusław.

-Sprawdziłem prognozy, za 2 dni będzie okienko pogodowe na Blanca. Spakujcie same potrzebne rzeczy, żadnych dodatkowych stringów, pamiętajcie, do tego dochodzi szpej, zestaw antylawinowy i namioty.

Po chwili walczyliśmy z naszymi plecakami, aby domknąć ich bogatą zawartość.

Nazajutrz zakładam cały ekwipunek na plecy i mam duże wątpliwości, czy z tym ciężarem pokonam chociażby 100 metrów pod górę. Podobne dylematy ma Ania - jeszcze większa chudzina. Robimy sobie zdjęcia, na których widać tylko postacie składające się z nóg i plecaka. Postanawiam, że będę walczyć, aby wejść na tę górę i żaden ciężki plecak mi w tym nie przeszkodzi. Z takim nastawieniem ruszam pod kolejkę linową na Bellevue, która dowozi nas na wysokość 1794 m n.p.m. Następnie wsiadamy do tramwaju górskiego, który pnie się po krętych szynach. Tu już wylaniają się w pełnej krasie szczyty Alp, czarny lodowiec, stado kozic, a nawet świstak. W tramwaju od razu można rozpoznać nowicjuszy, którzy z otwartymi z zachwytu ustami robią serie zdjęć. Do tej grupy oczywiście ja należę. Jest to mój pierwszy raz w Alpach i pierwszy raz wejść tak wysoko. Wcześniej były tylko Tatry. W ogóle pierwszych razów podczas tego wyjazdu jest dużo. Pierwsze spanie pod namiotem na lodowcu, pierwsze mycie zębów w śniegu i niemycie się 4 dni, pierwsze gotowanie na jetboilu, pierwszy wschód słońca na 4000 m n.p.m. Wyliczać nie będę, bo jest tego sporo. Siedzę wygodnie w tramwaju górskim, nieświadoma, co mnie czeka. Wiem jednak jedno, że podjęłam kolejną dobrą decyzję w życiu, pisząc się na tę wyprawę z PKA.

Tramwaj kończy trasę na wysokości 2380 m n.p.m. w tzw. Gnieździe Orła (Nid D'Agile). Dalej poniosą nas już własne nogi. Rozkładamy kije, aby odciążać choć trochę plecy i rozpoczynamy wędrówkę. Mamy dziś dotrzeć do Refuge de Tete Rousse, na wysokość 3187 m n.p.m., pokonamy tylko 800 metrów wzniesienia, ale z całym ekwipunkiem biwakowym i częścią szkoleniowego. Początkowe kilkanaście metrów to udręka dla pleców, paski plecaka wrzynają się w barki. Później nie jest tak źle z tym balastem, jak myślałam, że będzie. Kiedy znajduję się w czołówce naszego zespołu, nabieram dodatkowo pewności siebie.

- Na górze wyjątkowo dużo śniegu jak na czerwiec - mówi Krystian.

Ja się z tego cieszę, lubię ośnieżone góry, wytopione skały już nie mają takiego uroku. Jest lekko zachmurzone niebo, ale świeci słońce. Zostawiamy za sobą rzadką warstwę chmur i wchodzimy wyżej, ponad kolejną warstwę białych obłoczków. Jest pięknie, spoglądam w dół, dolina, w której leży Chamonix, z każdym krokiem robi się coraz mniej wyraźna. Cieszę się, że tu jestem i całkowicie zapominam o ciężarze na plecach.

- Po lewej to Aiguille du Midi - mówi Krystian - a tam na ośnieżonej ścianie z przodu świeci w słońcu blaszany Gouter.

Właśnie z tego zbocza odrywają się głązy wielkości i pięści, i samochodu. Zbocze jest białe, więc można się spodziewać, że kuluarami będą schodzić lawiny śnieżne. Grand Couloir, zwany również Kuluarom Rolling Stones lub Żlebem Śmierci, to jedno z najniebezpieczniejszych miejsc podczas podchodzenia pod Blanca drogą klasyczną. Trawersowanie tego żlebu oglądałam wielokrotnie na youtube przed wyjazdem. Chciałam wiedzieć, co mnie czeka, oswoić się z górą.

- Widać już schronisko Tete Rousse i pole biwakowe - mówi Krystian. -Zaczekamy tutaj na pozostałych z naszej 10-osobowej ekipy.

Robię zdjęcia, cieszę oko widokami. Docierają do nas Albin i Dawid. 800 m podejścia weryfikuje naszą kondycję i okazuje się, że w takim właśnie 4-osobowym składzie będziemy atakować szczyt. Czekamy na naszych, aby razem wejść na obszerne śnieżne plateau, gdzie rozstawimy namioty pośród kilkunastu innych. Czekają nas, kursantów, kolejna lekcja, ponieważ każda czynność przy budowaniu biwaku ma swoją przemyślaną kolejność i sens. Wyrównanie terenu i udeptywanie platformy pod namiot. Odpowiednie umocowanie troczków do podłoża, aby nie zwało namiotu w nocy. Na koniec rozlokowanie w jego ciasnym wnętrzu całej zawartości swojego plecaka wg odpowiedniego schematu. Wszystko ładnie ułożyłam, kołując się chyba z pół godziny przy zniecierpliwieniu mojego sąsiada. Powinnam się wyspać jak śpiąca królewna, kiedy jednak kładę się do śpiwora, sen nie nadchodzi. Chyba wysokość robi swoje. Trochę ćmi mnie głowa, jest gorąco od puchu, na dodatek z Kuluaru Śmierci słychać w odstępach 20-minutowych złowrogie grzmoty spadających lawin. Zresztą, jak tu zasnąć, jak boli mnie szczęka i mięśnie brzucha od śmiechu. Wcześniej opowiadaliśmy sobie z namiotowym kompanem najzabawniejsze i obciachowe historie z naszych młodzieńczych lat. Mój współlokator już chrapie, a ja się przekręcam z boku na plecy. W końcu zapadam w sen. Jak miło jest zobaczyć zaraz po przebudzeniu ośnieżone szczyty zamiast szarego betonowego osiedla. Pogoda dziś barowa, idziemy gotować śniadanie w schronisku. Po posiłku i spakowaniu tylko najpotrzebniejszych rzeczy 2 nasze zespoły wyruszają do Gouter na nocleg przed atakiem szczytowym. Nasz zespół w składzie: Krystian - lider, Albin, Dawid i ja pozostaję w „bazie camp”. My ruszamy dzisiaj w nocy prosto na szczyt. Tymczasem z braku zajęć spowodowanych mżystą pogodą siedzimy dalej w Tete Rousse, rozmawiając o poważnych sprawach i pierdołach oraz oddając się dalszej konsumpcji.

- Monika częstuj się cukierkami, napychaj się, ile tylko możesz, żebyś miała jutro siły - zachęca Albin.

- Ja już nie mogę patrzeć na te słodczyce, wolę ugotować spaghetti, zjemy z serem. Nie mam tylko szerokiego garnka, w moim jetboilu za mało miejsca na makaron.

- Ci Polacy mają szeroki garnek. Monika idź i zagadaj z nimi, tobie pożyczą, ładnie się tylko uśmiechnij - doradza Krystian.

- Zastosuj te babskie sztuczki - wtóruje mu Albin.

- Ok, nie musicie mi mówić, jak to się robi, poradzę sobie - odpowiadam.

Po chwili wracam z pożyczonym naczyniem i zaczyna się gotowanie śniegu na makaron dla 4 osób. Stanie nad maszynką do gotowania i pilnowanie makaronu, żeby nie wykypiał, umilają mi pogaduszki z Robertem i jego cynamonowa herbata. Robert, Viola, Adrian, Mikołaj i Rajmund przyjechali jako druga ekipa PKA, tylko na Blanca. Deszczowy dzień mijają nam w schronisku na jedzeniu, rozmowach, jedzeniu i jedzeniu. Jest jeszcze jasno na zewnątrz (w końcu to czerwiec), kiedy około godz. 19:00 idziemy się położyć do namiotów na przymusowe spanie o tak wczesnej porze. Zgodnie z ustaleniami kierownika wyprawy Bogusława o godzinie najpóźniej 2:00 mamy wyjść na atak szczytowy. Zaczyna się powtórka z poprzedniej nocy, długo nie mogę zasnąć. Jestem podekscytowana, krążą po głowie myśli: czy dam sobie radę jutro, a co, jak złapie mnie choroba wysokościowa, może wziąć ze sobą tabletki na ból głowy? Ponoć prawie wszystkich boli głowa od niskiego ciśnienia i braków tlenu. W której kieszeni plecaka spakowałam krem UV, ciekawe jak tam będzie? Czy te lawiny, co schodzą teraz w kuluarze, muszą być tak głośne, no nie dają mi spać, dlaczego ten tu obok mnie już smacznie śpi a ja nie mogę, na dodatek chce nas chyba wysadzić w powietrze... Atmosfera w namiocie robi się tak nieświeża, że wystarczyłoby odpalić teraz zapalniczkę i katastrofa gotowa. Zakopuję się głębiej w śpiworze... . Dzwoni mój budzik w komórce, co, już trzeba wstawać? Dopiero zamknęłam oczy. Nie wiem, ile spałam, może godzinę, może cztery. Jestem ewidentnie niedospana, ale adrenalina robi swoje. Trzeba działać, mamy ambitny cel. Zjadamy na szybko z kolegą batonik kinder bueno, skubujemy lekko już czerstwy chleb na tzw. czarną godzinę i popijamy herbata. Po kilkunastu minutach nasz 4-osobowy zespół rusza do ataku. Niesamowici ludzie, niebo bezchmurne, gwiaździste, powietrze lekko mroźne, pełnia księżyca, noc świętojańska i słoneczna pogoda w dzień. Tak właśnie wyobrażałam sobie pół roku wcześniej to wyjście. Moje marzenia, a może wizualizacje sprawdziły się w 100% , sprawdziły się również prognozy, które śledził Bogusław. Na grani widać kilkadziesiąt światełek rozświetlających noc, to nie robaczki świętojańskie ani kwiat paproci, to kilka zespołów takich jak my, podążających do celu. W perspektywie tej góry jesteśmy jednak takimi robaczkami zdanymi na łaskę losu. Góra to żywioł, teraz jesteśmy jej częścią. Przekraczamy Kuluar Śmierci tak szybko, jak to tylko możliwe, nasłuchując, czy nie schodzi ponad nami lawina. Po dwugodzinnej wspinaczce docieramy do schroniska Gouter. Najtrudniejszy odcinek mamy za sobą, nie było wcale tak ciężko. W środku jemy drugie śniadanie: skubany wspólnie żółty ser z jednej kostki oraz kanapkę. Kiedy ponawiamy marsz pod górę, na zewnątrz jest jeszcze ciemno, ale za kilkanaście minut zaczyna już świtać. Błyszczący Gouter błyszczy w świetle pełnego księżyca, coraz śmieiej wyłaniają się z ciemności zarysy szczytów. Wreszcie zostają ogrzane pomarańczowym blaskiem wschodzącego słońca. Piękny spektakl przyrody, którego jesteśmy świadkami, kończy I akt, ukazując w pełnej krasie alpejskie trzy i czterotysięczniki.

Droga za schroniskiem wznosi się łagodnie, nie sprawia żadnych trudności, idziemy równym tempem idealnie dobranego zespołu, wyprzedzamy nawet kilka innych grup. Na wysokości ok. 4000 m n.p.m. zaczynam odczuwać pierwsze objawy zmniejszonej ilości tlenu. Mam wrażenie, jakby to były lekkie zawroty głowy, choć nie mam problemu z równowagą. Zaczynam się niepokoić, że wyżej może być gorzej i mój organizm nie pozwoli mi wejść na szczyt. Swoimi obawami dzielę się z chłopakami. Okazuje się, że Dawid czuje się podobnie. Zaczynam głębiej oddychać, co kilkanaście kroków nabieram głębszy wdech. Pomogło, objawy mijają. Dochodzimy do schronu Vallot, na śniegu zostawiamy nasze plecaki i z czekaniem w rękę ruszamy dalej. Nachylenie góry wzrasta, podobnie jak częstotliwość naszych oddechów. Czuję, że moje mięśnie chcą iść szybciej, ale zmniejszona ilość tlenu w powietrzu mi na to nie pozwala. Mimo to nasze wspólne tempo jest szybkie, doganiamy zespół Bogusława, który wystartował z Gouterą jakąś godzinę przed nami. Są teraz nad nami, powyżej szczeliny lodowej i seraka, które robią na mnie duże wrażenie. Poranne słońce na wysokości ponad 4600 m n.p.m. operuje ze zdwojoną siłą. Przyjemnie ogrzewa mi twarz i wydobywa blask z każdego kryształka śniegu. Stromy stok błyszczy teraz srebrem, pięknie kontrastując z niesamowitym błękitem nieba. Koncentruję się na swoim oddechu, aby gwałtownie nie przyspieszał, stawiam krótsze kroki. Chociaż boli mnie głowa od spadku ciśnienia, cieszę się, że mój organizm wtargany pierwszy raz na taką wysokość grzecznie współpracuje z moim uporem, ambicją i nie odstawia mi żadnych numerów. Dalej góra wypłaszcza się i zwęża do grani. Tyle razy widziałam tę grań na filmikach w Internecie. Wiem, że za kilka minut dojdziemy na szczyt. Zdaję sobie sprawę z tego, że dałam radę, że zaraz tam będę. Czuję radość, ale i zarazem smutek, że za moment to wszystko się skończy, już wyżej nie pójdziemy. Coś we mnie pęka, z każdym krokiem jestem bliżej celu, ale i bliżej łez. Dłużej już nie utrzymam w sobie wewnętrznego szłochu. Z oczu wylewają się łzy i uciekają spod okularów przeciwsłonecznych. Mój płacz usłyszał Krystian. Odwraca się zdezorientowany, by sprawdzić, co się dzieje w jego zespole. W tej chwili, tzn. o godz. 8:20 przekraczamy magiczną dla mnie wysokość 4810 m n.p.m.

– Nic mi nie jest, to ły szczęścia - tłumaczę się, kiedy Krystian i Boguś gratulują mi zdobycia Blanca. Osiągnięcie tego celu było dla mnie bardzo ważne po tym, jak nie udało mi się zrealizować innego bardzo istotnego życiowego celu.

Czuję się teraz dowartościowana i dumna z siebie. Stoję na dachu Europy (Zachodniej) i, pomimo że głowa mi pęka od wrażeń i ciśnienia, czuję się fantastycznie. Gratulujemy sobie wszyscy, cała ekipa, i robimy fotki na każdą stronę Świata. Widok jak z samolotu. Wszystkie zalane słońcem alpejskie szczyty mamy pod stopami. Przejrzystość powietrza 100 %, prawie w ogóle nie wieje. Przy tak wymarzonej

pogodzie moglibyśmy tu długo posiedzieć i rozkoszować się widokiem. Niestety, musimy już schodzić. Po drodze nasz zespół zdobywa jeszcze jeden szczyt - Dome du Gouter (4303 m). Następnie docieramy do schroniska, poniżej niego na krzepiący obiad. Wypijam duszkiem 1,5 l wody i stwierdzam, że z każdym łykiem i kęsem ból głowy zmniejsza się. Cała nasza ekipa, wszystkie 3 zespoły, siedzą przy jednym stole, podpierając ciężkie głowy i zbierając siły na zejście kuluarem. Podziwiamy Krystiana podciągającego się na przysufitowej belce, wejście na Blanca to dla niego spacer. Po ok. 2 godzinach odpoczynku opuszczamy schronisko Gouter. Słońce jest teraz mocniejsze, wytopiło na skałach śnieg. W niektórych miejscach na grani podślaniały się poręczówki, których nie było widać w nocy. Wyprzedzamy grupę Ukraińców. Niektórzy z nich mają poważne problemy z zejściem, widać strach w oczach. Wydaje się, że mamy już najgorszy odcinek za sobą, pozostaje tylko przejść kuluar. Słońce daje się nam we znaki. Mam ochotę zanurkować twarzą w zimnym śniegu. Przystajemy na chwilę, aby ugasić pragnienie. Zdejmuję plecak i w tym momencie widzę, jak kilka metrów przede mną po stromym stoku zsuwa się kobieta. Nie ma jak jej zatrzymać, ponieważ tam, gdzie stoimy, kończą się skały, a zaczyna żleb. Pierwsze sekundy jej lotu wyglądają niewinnie, wolno koziołkuje wraz z plecakiem. Mam wrażenie, że powinna się zaraz zatrzymać, wyhamować czekaniem. Niestety, nie jest w stanie tego zrobić, a z każdym metrem w dół jej lot nabiera prędkości. Nie możemy nic zrobić w tej chwili, tylko patrzeć, gdzie się zatrzyma. Kobieta kończy swój ok. 200- metrowy spadek na dnie kuluaru. Miała szczęście, że jest tam dużo śniegu i nie uderzyła się o żadną wystającą skałę. Wyjaśnia się, że to Ukrainka, schodziła ze swoją grupą, tą, którą mijaliśmy wyżej. Dlaczego nie była związana liną z nimi? Jej towarzysze patrzą teraz zszokowani, co się dzieje i nie wiedzą, co począć. Pomaga im Bogusław, wzywa pomoc przez CB-radio, prosi o helikopter. Cały czas obserwujemy z góry, co się z nią dzieje. Po kilku minutach, ku naszej radości podnosi się. Niestety, jakby nieszczęścia było za mało, w żlebie schodzi mała lawina i przysypuje ją. Bogusław wykonuje kolejne połączenie, tym razem do kierownika zespołu, który już dotarł pod Tete Rousse, prosi, aby zebrał ludzi i zaczęli jej szukać pod śniegiem. Ujście kuluaru, gdzie została zasypana, leży na wysokości plateau pod Tete Rousse. Ludzie na polu namiotowym mają bliżej niż my. Mija kilka minut, kiedy dostrzegamy, jak kobieta wydostaje się spod śniegu. To się nazywa mieć szczęście w nieszczęściu. Nadlatuje też helikopter. Ratownicy docierają do niej i zabierają ją do środka. Ekipa ukraińska jest bardzo wdzięczna naszemu kierownikowi za pomoc. Kobieta przeżyła. My mieliśmy lekcję, że zdobycie szczytu to nie wszystko, szczęśliwe zejście jest tak naprawdę pełnym sukcesem, trzeba być ostrożnym i czujnym, stawiając każdy krok. Kuluarem Śmierci płynie teraz strumień roztopionego śniegu. Bogusław przechodzi przez niego pierwszy i czeka na drugim końcu, obserwując, czy z góry nie lecą jakieś głązy lub śnieg. Krystian pozostaje na drugim końcu, kontrolując sytuację ze swojej perspektywy. Przechodzę błyskawicznie. Na środku kuluaru czuję tę groźę, przejście przez niego to trochę jak rosyjska ruletka. Lawina może zejść akurat teraz lub za parę minut. Zdażyliśmy, po przejściu wszystkich przez kuluar, po jakichś 3 minutach poleciały masy śniegu. Radość zdobycia szczytu osłabił wypadek Ukrainki. Jednak góry to połączenie żywiołów, trzeba się liczyć, że wszystko może się zdarzyć. To nie tylko piękno, ale też niebezpieczeństwo. Porównując sposób działania kierownika grupy ukraińskiej i naszej, po raz kolejny utwierdzam się w przekonaniu, że czuję się bezpiecznie. Jego wiedza, doświadczenie i zdecydowanie potwierdzają, że jesteśmy pod profesjonalną opieką. Dotarłszy do naszego „base camp”, dziękuję też Krystianowi za to, że pomógł nam zdobyć szczyt i bezpiecznie sprowadził z powrotem. Jestem też wdzięczna chłopakom Albinowi i Dawidowi, że stanowiliśmy jeden zgrany zespół i idealnie nam się razem pokonywało kolejne metry w pionie. Po dniu pełnym wrażeń wieczorem wznosimy toast w Tete Rousse. Zasypiam w namiocie pierwszy raz, odkąd tu jesteśmy, bardzo szybko. Rano czeka nas jeszcze ciąg dalszy kursu. Budujemy stanowiska z szabli śnieżnej, grzyba i czekana, kopujemy jamę śnieżną. Po południu, kiedy zejdziemy niżej, w okolice Nid D'Agile, zaplanowane są ćwiczenia z sondami i detektorami lawinowymi. Pozostaje nam tylko spakować się i zwinąć namioty, co czynię z ponurą miną, ponieważ tu, na górze jest tak pięknie. Znów zakładam ciężki plecak i rozpoczynamy schodzenie. Pocieszam się tym, że kiedy dotrzemy do Gniazda Orła, zostanie nam jeszcze jedna doba na spędzenie czasu w górach. Bogusław jutro rano chce zrobić z nami wspinanie na lodzie. Tymczasem karmię wszystkie moje zmysły przepięknymi widokami i gromadzę je jak chomik, aby wystarczyły mi na długo, kiedy wrócę na nizinę. Chwytam chwilę, liczy się tylko tu i teraz, nic innego. Mam wrażenie, że czas przez te 4 dni zatrzymał się dla mnie, jestem szczęśliwa, młodsza o kilkanaście lat. Może jest to trochę egoistyczne, że moje myśli są teraz daleko od domu, rodziny, pracy, nie dbam o to, że wyładowała mi się komórka, ale skoro jeszcze tu jestem, chcę poddać się tym emocjom. Z moich wewnętrznych przemyśleń wyrывa mnie Krystian. Schodzimy razem w szybkim tempie po grząskim już śniegu, ścigając Bogusława z jego zespołem. Rozmawiam z Krystianem o jego zimowej wyprawie na Elbrus, którą odbył w tym roku wraz z Denisem Urubko. Już wiem, gdzie pojedę za rok latem.

- Monika, wyglądasz tak, jakbyś miała 20 lat - krzyczy z dołu Bogusław.

- Właśnie tak się czuję - odpowiadam mu.

Część naszej ekipy gromadzi się przy potoczku płynącym po skałach pod wytopionym lodem. Stoją przy wodopoju jak spragnieni wędrowcy na środku pustyni, napełniają wodą swoje termosy po brzegi. Przypomniało mi się, że od godziny też zaschło mi w gardle na tyle, że teraz na hasło *woda* zaczynam zbiegać po stoku, aby jak najszybciej dotrzeć się do źródła. Wystarczyła sekunda nieuwagi, abym

potknęła się na mokrym śniegu i już zaczynam zjeżdżać w dół. Plecak, który mam na sobie, dodaje mi tylko prędkości. Przypomina mi się Ukrainka. Obracam się na brzuch i hamuję czekaniem. Mam zdartą skórę na łokciu, ale wcześniejsze ćwiczenia z hamowania czekaniem nie poszły na marne. Po skończonych zajęciach lawinowych idziemy rozlokować biwak na deskach stacji tramwaju górskiego, nieczynnego już o tej porze. Przyrządzamy wspólną kolację z zapasów, które nam zostały. Rozpoczynamy degustację przy blasku świec zachodzącego słońca, relaksacyjnej muzyce grającego delikatnie po skałach wodospadu i obecności stada kozic przyglądających się nam z ciekawością, coż to za goście przybyli w ich skalne progi. Zachowujemy się więc bardzo cicho, tym bardziej, że w pobliżu nas, na deskach śpi już parę osób zakopanych w śpiworach po uszy. Wczesnym rankiem budzę się z poczuciem, że to, niestety, ostatni wschód słońca spędzony w górach na tym wyjeździe. W melancholijnym nastroju szykuję się do wyjścia na ćwiczenia pod lodowiec. Pod lodową ścianą ze wstydem przyznaję się, że zapomniałam wziąć śrubę lodową na zajęcia wspinania. Zbiera mi się opiernicz od Bogusława. Wszyscy już na kursie wysłuchali jego kazań, na koniec dostało się również mi. Ze skruczą chęć wrócić po tę śrubę pod stację, jednak mój pomysł samotnego przejścia przez jedną ze szczelin lodowca zostaje szybko odrzucony. Na całe szczęście inni nie zapomnieli swoich śrub. Wspinaczka w lodzie bez czekana, przy użyciu jednego czekana i dwóch przynosi mi dużo satysfakcji, innym też się bardzo podoba. Kiedy słońce zaczyna operować mocniej, odpadają małe kamyki wtopione w lód, to znak, że musimy stąd uciekać, aby nie ryzykować uderzenia większym głazem. Nadszedł czas na powrót w dół, do Chamonix, szkolenie zrealizowane do końca. Wsiadamy do tramwaju górskiego. Zajmujemy z Anią miejsca przy otwartym oknie, obserwując, jak krajobraz zmienia się z białego na zielony. Wdycham zapach traw, igliwia, kwiatów, im niżej zjeżdżamy, tym woń staje się bogatsza. Nie mogę się nadziwić, jak intensywnie odbiera zapachy lasu mój nos po jedynie 4 dniach przebywania wyłącznie w śniegach.

- Ciekawa jestem, jak odczuwają zapachy himalajski, kiedy wracają w doliny po 1-2 miesiącach spędzonych w surowych warunkach - mówię do Anki. - Zapytam o to Bogusia, był nieraz w takiej sytuacji.

Na dole w Les Houches jest gorąco, jak przystało na trzeci dzień lata. Po drodze z kolejki do naszego apartamentu ustalamy kolejność wejść pod prysznic.

- Tylko nie róbcie sobie prywatnego SPA - napomina nas kierownik.

- Po kilku dniach bez kąpieli może to trochę potrwać - odpowiada Michał.

Gola rzuca pomysł, aby podjechać nad pobliskie jezioro, odpocząć po trudach wspinaczki. Nie trzeba długo nas namawiać, wsiadamy w klubowego busa i jedziemy nad wodę. Nasze ciała zakryte przez 96 godzin od stóp po szyję mogą w końcu pooddychać i ulec muśnięciom promieni słonecznych. Wystarczy tego romansu ze słońcem, wchodzę do chłodnej wody popływać w scenerii Mount Blanc w oddali. Woda to mój żywioł tak jak góry. Tam na ponad 4000 m n.p.m. zostawiłam połowę serca. Dzisiaj odpoczywamy na całego. Wieczorem jemy kolację na mieście i szwendamy się po Chamonix. Po powrocie do apartamentu każdy z nas zasiada z notatkami sporządzonymi w trakcie trwania kursu. Jutro ostatni dzień szkolenia, trzeba przecież dobrze wypaść na egzaminie końcowym.

Siedzimy w klubowym busie, przemierzając kolejne kilometry, zbliżające nas do Polski. Prowadzi Bogusław, zmieniając się z Arkiem. Leci muzyka "... to już minęło, ten klimat, ten luz, wspaniali ludzie nie powrócą, nie powrócą, nie..", idealnie oddając w tym momencie moje odczucia. Mój optymizm jednak mi podpowiada, że może się wszyscy jeszcze spotkać, na przykład na następnej wyprawie...

Podziękowania dla wszystkich wspaniałych ludzi, z którymi spędziłam piękne chwile podczas szkolenia i wejścia na Blanca.